Lwów, 24. Stycznia. № 10. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.— kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1^1/_2$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Uczta weselna.

I znowu przeskoczymy rok cały. Odmiany jeżeli jakie zaszły odsłonią się nam same w ciągu tej części a teraz za pozwoleniem czytelników moich poprowadzę ich w miejsce zupełnie nowe, gdzieśmy dotąd jeszcze nie byli.

Mówiłem już w pierwszej części mojej powieści, że nic piękniejszego jak te doliny, które się natrafia pomiędzy górami, doliny wielkiej czasem rozciągłości. Na jednej to z takich dolin, ciągnącej się o milę od Kryweńki, i w znacznie niższem położeniu, pomiędzy dwoma wywyższeniami, rozrzucona była wieś, której sam widok przyjemne robił wrażenie. Jeżeli bowiem położenie tej wsi sadami zarosłej, opartej o wdzięcznie zaokrąglone wzgórki, o kląbami porozrzucane gaje cieniste, i tu i owdzie wśród bujnej wegetacyi rozścielające się krzaki, były pełne prostego i sielskiego wdzięku, podwojonego jeszcze przez widok gór piętrzących się zdala, i widok doliny strumieniem ożywionej, a niknącej w perspektywie mnóstwa wsi, dolin i wód — tem przyjemniejszy jeszcze był rzut oka na samą wieś, zaludnioną nadzwyczaj porządnie. Chaty wszykie były obszerne, czysto utrzymane; zewnątrz i wewnątrz schludne, z obszernemi dobrze zaopatrzonemi obejściami, i starannie a nawet jak na lud prosty wykwintnie utrzymanym sadem i ogrodkiem. Bo jeżeli dla uczucia estetycznego, jakie mniej więcej w każdym z nas spoczywa, miły jest widok pięknej okolicy, daleko żywsze uczucie, bo uczucie serdeczne, uczucie radości wzbudza widok dobrego bytu mieszkańców tej okolicy. Ruina starego zamku może wzbudzić jakieś uczucie romantyczne pełne przyjemności nawet, przywodząc na pamięć czasy zamierzchłe, lecz chata wieśniacza w ruinie zaboli zawsze patrzącego, jeżeli patrzący ma serce. I nic dziwnego, ruinę zamku zamieszkała już tylko przez gady i nocne ptactwo, podziwiać można jako ślad przeszłości, której odbudowaniem marząca wyobraźnia z zajęciem się bawi; ale chata w ruinie podaje koniecznie obraz smutnej nędzy jaka w niej się mieści, nędzy, która piękności przyrody zda się urągać brzydotą, czy ogólną składu społecznego, czy szczególną brudnego jakiego indywidualizmu. Do pełnej harmonii pięknej okolicy należy zatem niezawodnie dobry byt wieśniaczy. Nie jeden dwór pięknie lub wystawnie zbudowany, z mniejszym lub większym ogrodem, gęstą ścianą drzew zasłania się od widoku biednych chatek sąsiedzkich, których nędza i brud nieprzyjemnie uderza oczy; ja mniemałbym, iż należałoby pozrzucać te ściany, aby przecie to nieprzyjemne uczucie wzroku przeszło do serca i dało przekonanie, że najpiękniejszą ozdobą dworskich widoków będzie zawsze wieś świadcząca o dobrym bycie poddanych. Dzisiejsze stosunki zmieniły wiele zapewne, chociaż nie zniszczyły zupełnie wpływu jaki w tej mierze może i powinien wywierać dwór, jeżeli nie zawsze pomocnym czynem, to przynajmniej dobrym przykładem i braterską radą. Ale w owym czasie, o którym w powiastce mojej piszę, widok takiej wsi, a zdarzało mi się zdybać go nie raz, jeżeli był z jednej strony najpiękniejszą ozdobą swojej okolicy, dawał z drugiej strony najpiękniejsze świadectwo dziedzicowi o jego wyższej nad estetyczną bo serdeczną wartość.

Tuż za chatami było obejście dworskie, w środku otaczającej go zieloności, jakby w środku ogrodu wyglądające. Jakoż w rzeczy samej sam dwór bez pałacowej pretensyi, bez szumnych kolumnad, ze skromną wystawą kilku schodów kamiennych, czysty i biały, stał w ogrodzie. Minąwszy niedługą, lipami zasadzoną ulicę, towarzyszkę dawnego dworu, który tam kiedyś stał, wjeżdżało się przez skromną, drewnianą bramkę do ogrodu, i po żwirem wysypanej drodze zajeżdżało się przed dwór. Nic piękniejszego jak rzut oka z wystawy schodowej w ogród; przed samym bowiem dworem rozciągał się ogromny trawnik, starannie utrzymany, i okolony kląbami z drzew, krzewów i kwiatów, po których wiły się ścieżki ogrodowe. Trawnik ten na który myśl jakaś poetyczna rzuciła parę brzóz płaczących, jedną czy dwie smereki, i rozłożystą topolę srebrną, której liście przy świetle księżyca wieczornym wietrzykiem poruszane, i szumem swym i blaskiem roje marzeń budzą, spuszczał się w ledwie dostrzeżonej pochyłości aż ku strumieniowi, który dalej nieco w łotok ujęty, szerszą nieco wstęgą, okolał ogród, i w swych czystych wodach odbijał w zwierciedle i dwór, i trawnik i zasadzone nad nim płaczące wierzby, płaczące gałęźmi, które się kąpią w wodzie strumienia, i za każdym powiewem wiatru prawdziwe ronią krople. A na drugiej stronie strumienia, na lekkiem wywyższeniu krzyż biały kamienny, nowego dodawał uroku temu widokowi całemu,

a zarazem myśl po klombach, wodzie i trawniku rozmarzoną, zwracał do myśli o Bogu, który hojną ręką tworzy i piękne okolice, i dobrych ludzi.

To też nic poczciwszego niemożna sobie wyobrazić nad Mikołaja i Julią Minieckich, dziedziców Zahorzec, które opisać usiłowałem. Była to para prawdziwie błogosławiona przez Boga, bo tak szczególnie dobrana, że widząc ich trzeba było i podziwiać i rozczulać się. Podziwiać tę szczególną harmonią i myśli i uczuć, harmonią rozlaną na ich twarzach, w ich rozmowie odbitą, i ich uczynkami stwierdzoną; rozczulać się nad ich pożyciem pełnej wzajemnej miłości. Miłość ta ich, ugruntowana na szacunku wzajemnym i wzajemnej wierze w Boga w siebie i w cnotę, była ogniskiem prawdziwie świętem, którego promienie nie tylko ich samych ogrzewały, ale rozlewały się dobroczynnie na zewnątrz. Szczęśliwi o ile szczęśliwym być można na tej ziemi, szczęście to rozlewali w około siebie, przykładem który budował wszystkich znajomych, i uczynkami, któremi wylewając na drugich nadmiar swego szczęścia, starali się okazać tę najprawdziwszą i najlepiej zrozumianą wdzięczność, jaka się należy opatrzności za szczęście doczesne. Szanowani przez wszystkich, a nawet przez tych, dla których ich przykład i szczęście były niejako solą w oku, w kwiecie wieku jeszcze, dorodni oboje, otoczeni liczną i piękną drużyną dzieci, byli oni prawdziwą opatrznością dla wszystkich podwładnych, a mianowicie dla wieśniaków własnych, którzy byli drugą ich przybraną rodziną. We wszystkich swoich stosunkach na wewnątrz i na zewnątrz byli oni jakoby przez opatrzność zachowanym wzorem dawnych cnót patryarchalnych, które śmiało nazwać możemy naszemi, bo dawniej na tej ziemi pełno było takich dworów i dworków patryarchalnych, dopokąd nieprzyjaźne stosunki nie zamąciły dawnej wewnętrznej harmonii.

I jest to prawda tak dalece niezaprzeczona, że mimo wielu późniejszych utopij, które nam i głowy pomieszały, i serca pokalały, żywe jeszcze u naszej wiejskiej szlachty i pamięć i zdolność do takiego życia patryarchalnego. Oznaki onej więcej powierzchowne może, pojawiają się do dnia dzisiejszego tu i owdzie, i najdzielniej przemawiają za żywotnością naszych cnót narodowych, zasypanych zapewne mroźnym śniegiem ale podtą grubą warstwą mających siłę żywotną, jakowe korzonki kwiatowe które za pierwszym połyskiem słońca zielonym liściem, wdzięcznym pączkiem, pysznym kwiatem wystrzelają ku niebu.

Był to koniec lata, i koniec dnia na poły letniego jeszcze a na poły jesiennego. Ruch wielki panował w całem obejściu dworskiem państwa Minieckich. Ostatnie dworskie i wieśniacze fury zwoziły ostatek polnych plonów; ostatnie snopki zboża mnodzy robotnicy składali w ostatnią stertę, a tam dalej w głębi gumna, wesoło śpiewający chłopkowie kończyli poszywać szopę, której boki drewniane bielały jeszcze świeżem ociesaniem. Przeszłoroczny pożar, piorunem sprowadzony, spalił był do szczętu prawie wszystkie zabudowania gospodarskie, które jak świadczą jeszcze porozrzucane tu i owdzie deszczek, gątów i podwalin ostatki, mnogiemi otoczone drzazgami, tego roku w zupełności odbudowane być mogły.

Pan Mikołaj, towarzyszony ciągle przez dwóch śmiało skaczących synków swoich, przechadzał się po gumnie, i zadowolonem okiem gospodarza poglądał na wszystkie kończące się już roboty. Do tych uczuć gospodarza łatwo pojętych, dołączało się i uczucie małżonka i ojca rodziny, cieszącego się, że będzie mógł wrócić na miły wieczorny odpoczynek do żony i dzieci. A gdy już zmrok zapadać zaczynał, powołał pan Mikołaj do kancelaryi wszystkich robotników, którzy pracowali około budynków, i dobywszy księgi regestrowej, wziął się do obrachowania należnych im za pracę różną nagród. I szczeremi słowami podziękował im za wszystką ich pracę, i przeprosił zarazem składając się niemożnością z strat przeszłorocznych wynikłą, jeżeli aż na koniec wszelkiej ich roboty odłożył zapłatę, do której właśnie zabierać się zamyślał. Wtem dano mu znać, że wójt na czele starszyzny przyszli do niego. I weszli do kancelaryi; byli to sami starsi i wiekiem i znaczeniem w gromadzie; najstarszy stanął przed niemi wójt siwowłosy z czerstwą i dorodną twarzą. A z drugiej strony weszła do kancelaryi niecierpliwa żona pana Mikołaja, z najstarszą córką, pączkiem dziwnie pięknym, który podwajał jeszcze piękność samego kwiatu, i żona oparta o ramię mężowskie słuchała, a wkoło nich stanęło i skupiło się grono dziatek różnego wzrostu, na których twarzach zlewały się w różnych odmianach rysy ojca i matki.

I ozwał się stary wójt słowy prostemi, które by oddać należycie i wiernie, nadaremnie siliłbym się, bo najwymowniejszy język książkowy nie jest zdolny oddać prostego języka ludu, jeżeli nim powoduje prawdziwe jakie, niczem nieskrzywione uczucie. Stary wójt oświadczył z góry że ma prożbę w imieniu całej gromady, której by dziedzic nieodrzucił najpokorniej uprasza.

Pan Mikołaj odpowiedział z prawdą i uczuciem, że zadosyć uczyni żądaniom gromady, której sam jest i członkiem i bratem.

Owoż prożba wójta i gromady, wypowiedziana nie bez lekkiego zakłopotania, i nie bez pewnych retorycznych ostrożności, naszemu ludowi właściwych, była następująca:

Prosili oni by dziedzic nie robił tej krzywdy gromadzie, iżby płacił robotników co pracowali około odbudowania spalonych budynków. Nieszczęście które trafiło się roku przeszłego, to było nieszczęście co padło na całą wieś, na całą gromadę. I z poczciwą logiką dowodził stary wójt, że gdyby piorun uderzył w jego lub inną jaką chatę, to dziedzic przyjąłby to za stratę wspólną, i wła-

sne dał mu drzewo. Dla czegoż gromada nie ma mu dać w pomoc własne ręce, które że są zdrowe i zdolne do roboty, komuż są winni jeżeli nie dziedzicowi około ich dobra starannemu. Jeżeli panu naszemu kochanemu wolno nas ratować w każdem nieszczęściu, dla czegoż my nie mamy pomódz panu, kiedy jego nawidził nieszczęśliwy przypadek; mówił wójt dalej. Gdyby nasz pan i nasza pani odmówili, to by gromada musiała pomyślić, że już nas państwo przestali kochać i lubować jak dawniej. A myż przecie nie zasłużyli na to, bo my kochamy i panią pana i te wszystkie drobne panicze i panienki, jakby swoje własne, bo my przecie we wsi wszyscy swoi, od dziada i pradziada. My panie wasi z ojców, i wy panie nasz z całą familią, której niech Bóg najłaskawszy w niebie błogosławi na wieki wieków, amen.

Zakończył wójt perorę swoją zniżeniem się do kolan dziedzica, a cała starszyzna pokłoniła się nisko i pokornie.

— My wam odmówić! nigdy!... zawołała pierwsza pani Julia, i resztę słów przytłumiły łzy rozczulenia, któremi ulżyła wezbranym w piersi uczuciom.

— Nie odmówimy! odezwał się pan Mikołaj z większą stałością chociaż głos jego drżał wewnętrznem rozczuleniem. I dobrze mówicie poczciwi ludzie; gdybym odmówił nie byłbym godzien być waszym panem, waszym bratem, waszym przyjacielem. Dziękuję wam z całego serca poczciwi ludzie, i przyjmuję...

— My dziękujemy wam! nasz miły panie, dobrodzieju nasz i opiekunie! zakrzyczeli przytomni chłopkowie, a głosy ich szorstkie pomiękły znacznie i połamały się pod wpływem prawdziwego i szczerego uczucia.

— Dzieci! zawołała matka, podziękujcie tym dobrym ludziom, tym naszym i waszym przyjaciołom, i nigdy, nigdy moje dzieci żebyście dnia tego i tej godziny nie zapomnieli.

I dzieci aniołki, z łezkami aniołków godnemi, poskoczyli ku chłopkom. Porwane w ich objęcia, niejedną grubą siermięgą i zarosłą brodą silnie potarte dzieci, całowały serdecznie chłopków w ich opalone i łzami zroszone policzki.

I daremne były usiłowania starych i młodych. Wszyscy się rozczulili, wszyscy płakali. A z poza matki, śliczną twarzyczkę kryjąc w matczyną mantylę najstarsza córka wyciągnęła ku chłopkom swoją jak śnieg białą i pulchną rączkę. Żaden z przytomnych wieśniaków nie śmiał swą grubą i szorstką dłonią uścisnąć tej delikatnej rączki, ale wszyscy z kolei ucałowali ją z uszanowaniem; bo i wieśniacy nasi mają swoje dobrze pojęte uczucie przyzwoitości. I najstarsza córka najrzewniej i najsłodziej płakała, bo była już w tym właśnie wieku, w którym budzą się i myśli i marzenia, i uczucia, i tak łatwo łzami mimowolnego rozczulenia się na zewnątrz wybiegają.

W drzwiach otwartych stali domownicy, dzieci tegoż samego sioła. Cóż dziwnogo że uczuli całemi sercami porywającą prawdę tego epizodu, i pełnemi zalewali się łzami.

Była to scena, godna zapewne zdolniejszego od mego pióra, godna może rodzimego pędzla, ale przedwszystkiem godna szczerej do Boga modlitwy by się powtarzała na naszej ziemi.

Dla skończenia obrazu tej lubej rodziny, wejdźmy jeszcze za niemi, do środka pokoju. Wszystko tam świadczy o tej szczególnej harmonii uczuć i myśli, która się odbija bardzo gustownem a nawet wytwornem przystrojeniem pokoi. Jeżeli zbytek niepotrzebny lub z drugiej strony skąpstwo brudne, są pojawem niezaprzeczonym chorobliwości i umysłowej i uczuciowej, dobry smak, a nawet wymyślna wykwintność w przystrojeniu własnego pomieszkania, są dowodem czerstwości i głowy i serca. Harmonia wewnętrzna wylewać się musi na zewnątrz pojęciem, i zamiłowaniem tego wszystkiego co jest pięknem. I dla tego to jest prawdą co już niejeden piszący utrzymywał, że usposobienie wewnętrzne człowieka objawia się także i najmocniej w przystrojeniu jego pomieszkania. Porządek więc, czystość i wytworność panowały na dworze Zahorzeckim, a niektóre szczegóły rzucały bliższe światło na usposobienie obojga małżonków. Pokoik jeden przeznaczony na bibliotekę, świadczył, że choć żyli dla siebie życiem uczuciowem, nie byli obojętni na życie umysłowe. Jakoż oboje kochali literaturę w ogóle, a mianowicie literaturę ojczystą. Część największa biblioteki stanowiły historyczne książki, które sam pan Mikołaj zbierał z zamiłowaniem i znajomością bibliograficzną. Tuż przy domie była cieplarnia, pełna najpiękniejszych i rzadkich nawet krzewów i kwiatów zagranicznych. Zamiłowanie w kwiatach i w ogrodzie było można powiedzieć jedyną słabością samego pana Minieckiego, bo to był jedyny zbytek którego sobie pozwalał, wynadgradzając go wszakże wielką skromnością we wszystkich innych wydatkach. Żona nieraz żartując z nim twierdziła, że tylko o jedne kwiaty mogła być zazdrosną. Byłto wszakże żart tylko, bo pan Miniecki kochał żonę i dzieci nad wszystko. Prawda, że gdy zaszedł do cieplarni między ulubione kwiatki swoje, lub do szkółki krzewów i kwiatów, które sam najczęściej przesadzał i pielęgnował, trafiło się nieraz, że zapomniał o porze obiadowej i żona wyciągała go z tamtąd z wesołym śmiechem obojga. I chociaż sama nie dzieliła tego nadzwyczajnego zamiłowania w kwiatach, nie robiła mu nigdy, jakto w niejednem trafia się stadle żadnego z tego względu wyrzutu. Bo taka między niemi przez całe ich życie panowała harmonia, taka wieczna pogoda, że choć kiedy zawisła nad niemi jaka chmurka, to pewnie przyniesiona zewnętrznym jakiem zdarzeniem ale nie wynikła nigdy z ich życia wewnętrznego.

W pokoju bawialnym pełnym woni kwiatów, był fortepian na którym grywały matka i najstarsza córka. Przy

nim to nazajutrz po rozczulającej scenie którą opisać usiłowaliśmy, zastajemy najstarszą córkę, której imię nieco wyszukane, doskonale odpowiadało jej całemu ułożeniu i usposobieniu. Modesta czyli Modunia, jak ją nazywali powszechnie, było to skromniuteńkie i ciche, jasnowłose i niebiesko-okie stworzenie z urokiem wdzięków niewinności, i siedmnastoletnich marzeń na ślicznej twarzyczce. Ta twarzyczka jasna i wzrok przezroczysty były istnem zwierciadłem, odbijającem jej duszę i jej myśli. Grała na fortepianie, palce jej biegały jeszcze po klawiszach, ale myśl jej była daleko; oczy odwrócone od fortepianu zdawały się lecieć z nią na wyścigi, w te piękne kraje marzeń, które raz tylko pojawiają się z takim cudownym urokiem, raz tylko, w wiośnie życia. I te marzenia dziewicze, którychby anioł się nie powstydził, odezwały się po mału i w grze fortepianowej. Coraz ciszej, coraz śpiewniej odzywały się klawisze, przechodząc przez wszystkie tony tęskne, i mimowolnie pod jej palcami utworzyła się jakaś dumka, na poły przypomniana, na poły improwizowana. I kilka kropli łzawych zawisło u długich rzęsów. Nie były to łzy boleści lub cierpienia; ale łzy zawsze, łzy które od kolebki do trumny wypływają z piersi człowieczej, przepełnionej uczuciem, czy to uczucie było bolem czy radością, nadzieją czy rozpaczą, marzeniem czy rzeczywistością. Modunia wychowana w takim domu, przez takich rodziców, wśród przykładów takiego przywiązania, od dzieciństwa tulona w środek uścisków rodzicielskich, stała się bardzo, za nadto czułą. Zbytnia czułość jest to smutna wada, i więcej jak wada, bo jest to nieszczęście dla tych, co ją posiadają. Nigdy niezadowolona, zdradzana wiecznie, mrożona i kaleczona zimnem i szorstkiem dotknięciem egoizmu, jest ona jakby piersią pelikanową, która drugich własną karmi krwią. Czułe serce to niewyczerpane źródło szczęścia dla drugich, bolów dla siebie, to źródło wszystkich poświęceń, i wszystkich odczarowań!

Podczas gdy Modunia siedzi przy fortepianie, otwarły się drzwi z cicha, i stanął w nich znany już nam Mykita. Nie zasłyszała ona jego wejścia, i on też stanął przy drzwiach nieruchomy. Nasz góral zmienił się mocno od roku przeszłego; zestarzał się jak się zwykle najprędzej starzeje, myślą i cierpieniem; twarz jego zpoważniała, ale zarazem zbrzydła stratą dawnego wyrazu mało dbałej młodości, który spoczywał jeszcze na niej przed rokiem. Usta mu się ścisnęły, jakby drzwi szczelniej zamknięte, by tajemnica męki nie uciekła; oczy zapadły mu, prawdziwe zaczajone strzelce złowrogich pocisków! Lecz okropniejszy nad wszelki opis, był wyraz jaki w tej chwili wystąpił na jego twarz; okropny podwójnością swoją, bo była w nim i nienawiść i podziw jej wdzięków bez granic; złość i pożądliwość piekielna. Spojrzenie jakie na nią rzucił Mykita, było prawdziwem spojrzeniem rzucanem przez zbójcę na klejnot drogi. I musiało to spojrzenie być silne, magnetyczne prawie, kiedy się coś Modunia zbudziła nagle z marzeń, i zbudziła jakimś bolem niepojętym. I mimowolnie spojrzała ku drzwiom, i w pierwszej chwili zadrżała, bo ją jeszcze trafił ostatek wyrazu i spojrzenia złowrogiego. Lecz w drugiej już chwili twarz Mykity ułożyła się w przyzwoitą pokorę, a Modunia zerwała się z uśmiechem radości, i poskoczyła spiesznie ku niemu, a rumieniec od róży piękniejszy rozlał się po twarzy.

— Nie poznałam ciebie. Jak się masz Mykito? — ozwała się głosem, który miękkością swoją śpiewną odpowiadał doskonale całemu jej usposobieniu.

— Zdrów pani, chwała bogu! — odpowiedział Mykita kłaniając się nisko.

— A! — zaczęła Modunia, i jeszcze żywszym skończyła rumieńcem.

— Panicz zdrów wrócił ze Lwowa, i nim ułatwiwszy się trochę w domu, przyjedzie sam, przysłał mnie tu z listem do państwa i sprawunkami.

Modunia słuchała go z uwagą, a choć się tu Mykita zatrzymał, ona patrzała ciągle na niego pytającym wzrokiem, oblana ciemnym pasem rumieńca.

— I kazał mi panicz widzieć panienkę osobno, pokłonić się bardzo i bardzo i oddać to co przyrzekł panience przywieść z miasta. I oddał dziewczynie zwitek nut muzycznych.

Najniewinniejsze marzenia nie pełzną nadaremnie; zawsze na końcu coś się wymarzy, marzeniem pojmie i odgadnie, czego się pierwej nie rozumiało, i niewiedziało. I tak Modunia porwawszy nuty, pod pozorem przejrzenia ich, tak prędko raz i drugi przewracała kartki, że mam wielką chętkę posądzenia jej, czy między kartkami muzycznemi nie szukała czego innego. Jeżeli karteczki jakiej, bileciku, to się grubo omyliła, bo nasz pan Piotr chociaż jak zobaczymy, wiele się zmienił od roku przeszłego, wolałby zapewne pojść na sto armat, niżeli napisać kartkę do panny Modesty.

— Dziękuję ci — ozwała się panna wreszcie. I panu podziękuj bardzo pięknie. A widząc że się zabiera wyjść dodała:

— Rodzice są w swoim pokoju, chodź tędy Mykito.

I powiodła go aż przed ostatnie drzwi, ale nie weszła z nim do rodziców, chociaż była ciekawa widzieć sprawunki, o które państwo Minieccy prosili Piotra jadącego do Lwowa. Dla czego nie weszła? bo... a któż odgadnie wszystkie *bo*... młodej dziewczyny. Może bała się niepokoić matkę tym rumieńcem jakby gorączkowym, może też chciała raz jeszcze przejrzeć nuty. Jakoż póty przewracała, póty oglądała, póki nie wynalazła przecie na jednej z kartek muzycznych swoją cyfrę, i to kaligraficznie wypisaną. Biedny Piotr! co go to musiało kosztować trudów i mozoły!

Weselsza a nawet śmiejąca się, pusta prawie, pobiegła

Modunia do ogrodu. Młoda roztrzepanica! pobiegła z nutami do ogrodu!

Przejdziemy tymczasem do pokoju sypialnego państwa Minieckich. Pokój ten był równie miły i czysty jak wszystkie inne. Był to wielki pokój i wszystko w nim świadczyło o porządku i harmonii panującej w tym domu, której jakby godłem, były łóżka małżeńskie razem zestawione którego to zestawienia dzisiejsze pokolenie wstydzi się jakby czego nieprzyzwoitego, chociaż nie wstydzi się zobopólnej zdrady małżeńskiej. A tymczasem te dwa łóżka razem w sypialni państwa Minieckich, otoczone łóżeczkami dziecinnemi, prócz łóżka panny Modesty, która miała pokój swój osobny, wiszące nad niemi święte obrazy, jakby stróże opiekuny ich życia, a dalej po ścianach po rozwieszane obrazy familijne rodzin obydwóch, i męża i żony, w największej z sobą zgodzie, wszystko to razem rozczulało przypomnieniem życia dawniejszego, życia patryarchalnego u nas. (D. c. n.)

Chorąży.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

W tem Marya weszła. — Młodzian się skłonił,
Hoże oblicze ogniem zapłonił,
Bo tyle krasy i wdzięku tyle
Dziewica w sobie złączyła mile,
Że mimo wiedzy nad nią się zdumiał
I ledwie zachwyt swój pokryć umiał.
I już mu nie szła z starcem rozmowa.
Jakoś się w myśli plątały słowa,
A ile razy starzec się zwróci,
To on na Maryą źrenicę rzuci,
Potem znów z starcem rozmowę toczy;
Lecz wciąż za Maryą biegają oczy.

A Marya niby rozmowy słucha
Ale jej jakoś nielgnie do ucha;
Ona szczebiotka, dzisiaj milcząca
Między ich sprawy myśli nie wtrąca,
Tylko wzrok utkwi w lico młodziana;
A w wątku marzeń myśl rozbujana
Gdzieś po zamglonej szuka pamięci
I senne rojeń widziadła nęci,
Co jakby duchy w kwietnej oponie,
Mając gwiazdami wieńczone skronie
Stawają wszystkie jasnym obrazem
W sercu i w myśli i w oczach razem,
A potem wiodą w jaw zestrzelone
Na twarz młodziana oczy zdziwione.

A gdy skończono skromną wieczerzę,
Starzec odmawiać szedł swe pacierze;
A więc młodziana za rękę ścisnął,
Na czoło Maryi całuska wcisnął,
Życzył dobranoc, wyszedł z komnaty;
A tak nawyknął czynić od laty.
I Marya także wnet odchodziła;
A gdy żegnała, to modre oczy
Co siały taki odblask uroczy
Skromnie rzęsami na pół zakryła;
Jednak się światło z pod rzęs wykradło
I na młodziana lico upadło.

Gdzie szła? w ogródek swój ulubiony,
Co śród wieczornej kraśniał osłony;
Siadła, oparłszy skronie dumała
I liść stokroci po liściu rwała,
Potem pobiegła gdzie róże były,
Znów gdzie fiołek zakwitał miły,
To się poiła wonią powoju,
Lecz sercu trudno znaleść pokoju,
Bo coraz mocniej w łonie pukało:
Ponoś znalazło, za czem szukało!

W dworcu starosty czas rychło spływał.
Chorąży młody bawi w gościnie,
A czas mu jakoś tak lubo płynie,
Żeby tu całe wieki przebywał.
Ze starcem robią wycieczki częste
Na łowy w lasy, we źwierza gęste,
Lub ze sokołem na ptastwo w pole.
A gdy się łowy snadnie udadzą,
To starzec wtedy wesół przy stole,
Kiedy gąsiorek z miodem podadzą
Rad opowiada jak mu wiek młody
Spływał na bojach śród chwil swobody,
Pod czyją wodzą dobił się sławy,
Gdzie? z kim toczyli wtedy bój krwawy?
Gdzie konia stracił, sam był raniony,
Jak mu druh wierny szedł do obrony,
Jak go piersiami swemi zasłaniał,
I krzywą szablą wrogów odganiał;
A gdy to wspomniał, lał w puhar wino,
I pił na brata pamięć jedyną.
Potem o sejmach, o cudzych krajach,
I o tych prawych ojców zwyczajach,
I gdy się czasem miodkiem podchmieli,
To i wesołym żartem wystrzeli.
Ale gdy starzec wieczerzę rzuci,
I do swojego Tacyta wróci,
A młodzi razem zostaną sami,
O wtedy raźniej idzie rozmowa,
A chociaż niby zwyczajne słowa,
Oni przez usta mówią sercami.
Nie słów tam krasa myśli ubiera;
Jedno westchnienie, uśmiech w prostocie
Powiedzą więcej niźli słów krocie,
Tam cała dusza przez myśl przeziera!

Młodzian bo hoży; Zdzisław mu miano,
Ale w gorącem znać go kąpano,
Bo w jego licu tak krasy wiela,
A takim ogniem źrenica strzela
I tak źwierciedli duszę ognistą,
Rzekłbyś, że widzisz krynicę czystą,
W którą gdy słońce promień swój wpije,
To jak w źwierciedle obraz odbije.
Czasem na Maryą gdy wzrok ten padnie
To śnieg z jej lica jak słońce kradnie,

A twarz się cała w płomieniu nurza
A na jagodzie wykwita róża...
Ona już kocha! niekochać trudno.
A kiedy spojrzy w jego twarz cudną,
Z wyrazem męstwa, z dumą na czole,
Gdy jej zabłyśnie oko sokole,
To serce zadrży, zatli się oko
I pierś zabuja wolno, szeroko,
A prędzej zorza niewstanie z rana
Niżby niekochać miała młodziana.
A kocha szczerze, o serce młode,
Chętnie rzuciło dawną swobodę,
I w pęta róży lubo uwite
Bije i płonie wstydem zakryte,
Tylko się zdradza, gdy przy spojrzeniu
Urodne lico stanie w płomieniu.

A Zdzisław? kocha; czyż trzeba więcej?
Niech tylko ujrzy uśmiech dziecięcy,
Niby poranek wiosny uroczy,
Kiedy usteczka wdziękiem otoczy,
Lub niechaj szkarłat wstąpi na lica,
Lub zadumana westchnie dziewica,
Albo źrenica zatli błękitna,
Lub arfą trąci rączka jej sprytna;
To mu tak wszystką duszę porywa,
Że choćby była w piersiach tych skała,
Toby się przecie stopić musiała
Od tego ognia co ją przeszywa.
Przy niej wre ogniem, bez niej mu nudno,
A że ją kocha, odkryć mu trudno,
Chciał jej powiedzieć już razy tyle,
Ale mu zawsze braknie na sile;
I znowu chwili sposobnej czeka,
A kiedy przyjdzie, nieśmie, odwleka.

Wieczór był cichy, a gwiazdy kołem,
Niby sny złote nad młodem czołem
Błysnęły wolno po niebie sennem
Witając ziemię blaskiem promiennym.
A przy wieczorze w cichej krzewinie
Śpiewka słowika melancholijnie
Jakoś tak łzawo o liść dźwięczyła,
Jakby ptaszyna zaczemś tęskniła.
A Zdzisław z Maryą już ręka w ręku
Idą przy lubym wieczornym wdzięku,
Blaskiem promieni z wesołą twarzą
To w gwiazdy patrzą, to z sobą gwarzą.

„O Mario moja!.. w szczęściu szaleję!
I ty mię kochasz?!.. powtórz raz jeszcze,
Niech słów twych dźwiękiem serce rozpieszczę
Słodkie to brzmienie niech w duszę wleję
Maryo! ty kochasz?! i toż być może?
O jakżem szczęśliw, jak serce rośnie;
Słuchaj jak o pierś uderza głośnie:
Dłoń mi twą podaj niech tu przyłożę,
Tu, tu do łona, bo mi się zdaje
Że dla mnie nowa zorza powstaje,
Że już ją widzę jak wstaje złota
Dnie opromieniać mego żywota.
Maryo! już widzę brzask jej daleki...
O! ty mię kochasz, powiedz Aniele!
Słów ci do tego trzeba niewiele,
A jabym słuchać chciał to przez wieki!!!...»
„Kocham Zdzisławie!” drżąca odpowie,
On klęka, rękę ciśnie do łona,
Gdzieś w niebo leci myśl rozkwiecona;
I idą dalej, dalej w rozmowie.
A gwiazdy siejąc promienne zdroje
Blaskiem swem pieszczą kochanków dwoje.
Szczęśliwe z sobą spędzają chwile;
Czas im przybiera skrzydła motyle,
I niby motyl z lilji ucieka,
Bo tam na niego różyczka czeka,
Z kwiatu na kwiatek, z błoni na błonie
Gdzie trawki więcej i słodsze wonie
Kochanków z sobą unosząc, leci,
I ślad przed niemi różami kwieci!

Starosta niby coś się domyśla,
Ale znać jakoś niekontent z tego.
Czasami spojrzy na chorążego
Bystro, potem się długo namyśla;
Czasem na Maryą rzuci źrenicę
Jakby wybadać pragnął dziewicę,
Czy się przypadkiem nie zdradzi płocha
Że już Zdzisława tajemnie kocha.
Lecz czemuż byłby niekontent stary?
Czy mu to jego psuje zamiary?
Czy mu to może partya nieświetna?
Wszak i Zdzisława jest krew szlachetna,
Równie jak on się ze szlachty rodzi
I śliczny poczet przodków wywodzi.
Że ów chorąży a on starosta,
Lecz urodzenie tu zawsze sprosta.
Myśli starosty trudno kto zgadnie,
Gdy mu się raz co do głowy wkradnie,
To długo, długo kryje przed światem,
A w końcu przecie postawi na tem. (C. d. n.)

Deotyma.

(Ciąg dalszy.)

Leży przed nami tom utworów Deotymy. Podzielono je na „improwizacye” i „poezye.” Ponieważ w nich Deotyma w dwojakim występuje charakterze, będziemy więc o niej mówić, jako o improwizatorce i poetce. —

W improwizacyach jest wprawdzie idea przewodnicząca, co jak nić czerwona przebiega wzdłuż obszernej, białej tkaniny; ale idea ta biednie i kryje się niekiedy, stłumiona widocznie usiłowaniem przeprowadzenia ją przez mnogość obrazów i odcieni subtelnych.

Chociaż nawiązywanie obrazów i myśli podrzędnych odbywa się po mistrzowsku, utykamy jednak nieraz na chrapowatem zasileniu, którem rozpoczyna się nowy wątek dalszej improwizacyi. Wplot zwrotów pobocznych jest często nieznaczny, lecz nie zawsze potrzebny; — idea kierująca traci przeto na wrażeniu. Improwizatorka ma wprawdzie na uwadze główną myśl obranego tematu, lecz więcej zdaje się być zajęta formą i ramami swego obrazu. Już w pierwszym ciągu i zarysie przebiją się wytyczony roz-

miar utworu, który czembądź wypełnionym być musi. Wówczas muszą dostarczyć materyału rozliczne wydziały umiejętności i sztuki, jednego po drugich, póki przestrzeń obrazu nie napełni się malowidłem. A że sama wola dostateczną jest, aby z przyswojonych nauk i nabytej wiedzy wydobywać odłamy i je, uwzględniając wymaganie artyzmu, wedle potrzeby, z różnie odwróconem licem w układ obrazu grupować, dla tego w utworach widzimy przeważnie mozaikę, złożoną z odłamków obszernej nauki i wiedzy. Trudniej jest o prawdziwe, poetyckie natchnienie, bo to najczęściej samej woli niepodlega. Wprawdzie dłuższe przejęcie się jakąś ideą, wprawia poetę w natchnienie, ale w jednej chwili to się nie stanie. Rzuconą myśl podejmuje Deotyma z wielkim rozmysłem, grupuje, szykuje, rozwleka, i zimno patrzy na nią zdala, jak malarz dekoracyj teatralnych; ale uczucie jej milczy. Indywidualność jej, jest obcą tym utworom, bo te utwory są dziećmi jej sztuki, a nie jej duszy. Rozmiłowanie w artyzmie zaciera jej wszelkie uczucia, a trzymając się form zewnętrznych, traci uwagę na ich treść i znaczenie. Przy wybłysku tylu trafnych, często genialnych myśli, widzimy naganne usiłowanie, zdobyć podziw formą i rozmiarem. A przecież podrzędna wartość kształtu i rozmiaru ocenia należycie:

„Ludzie, błaha wasza praca,
„Co miało początek — znika,
„Co pyłem — w pył się obraca.
„Tylko słowa z jądrem wiary,
„Tylko myśli prawd filary,
„Tylko serce co cierpiało, —
„Jest świątynią wieczno trwałą!

Talent Deotymy kładziemy wyżej niżeli kształty, w których on się nam objawia; — od Deotymy moglibyśmy już dzisiaj żądać nowych kształtów poezyi. Bo poezya nietraci potęgi, ale jej forma zużywa się. Gdy w początkach bieżącego stólecia istniejące formy poezyi do sytu obrobiono; gdy w artyzmie tworzenia wierszy według woli i tematu tak dalece postąpiono, że poezyę uważano, jak grę w szachy, za zabawkę w nudach, lub kaprys zwichnionego umysłu; gdy się gwałtem silono na możliwe kombinacye form klasycznych, wydobywając reminiscencye już dawno przekwitłych; i gdy na koniec już całkiem o poezyi zwątpiono, i jej historyę pisać zaczęto: wtedy to powstał geniusz potężny, a kładąc w miejsce wzorów zużytych, magnetyczną igłę natchnienia, wskazał prawdziwy punkt ciężkości dokąd się pochyla dusza i serce.

Poezya odziała się w nowy kształt — i zachwyciła swemi wdziękami. Dzisiaj wyczekuje ona nowego swego odmłodnienia przez nową formę. Kto w swojej wyniosłej duszy ten kształt odkryje natchnieniem i pracą, a tym kształtem do ludzi przemówi — utworzy epokę. Kto w ślady utarte prawie od pół wieku wstępuje, i bez modlitwy natchnienia i bez postu na puszczy, znanym do sytu językiem i formą nicowaną przemawia, głos tego, po krótkiej chwili przebrzmienia, zostanie głosem wołającego na puszczy!

Prawdziwie wielkich typów, których wiek jednak już przeminął, dzisiaj naśladować niemożemy. I Deotyma widzi w nich tylko wielką przeszłość, co

Jak odłamy skały szarej
Zaludniają puszcz obszary.
W każdej z tych kamiennych twarzy,
Dusza narodów zaklęta
Dotąd wieczną chwałę marzy,
Gdy świat już jej nie pamięta!..

A czemże są improwizacye Deotymy, jeżli nie formą która ma już swoją przeszłość? Błyszczą w niej wprawdzie iskry głębokich pomysłów, szczytnych myśli, śmiałych zwrotów; lecz na cóż tyle, tak drogich skarbów odziewać szatą improwizacyi. Czyto ma być nowy kształt poezyi? Czy pospieszność i niewykończenie w zarysach ma znamionować geniusza nowej ery? Czy Rafał poprzestał na Madonie, wyrysowanej na murze dziedzińca? Deotyma wie dobrze, czem jest kształt i rozmiar:

. . . . rozmiarów potęga
Nie jest piękności zaszczytem:
Grek to pojął: — wnet z zachwytem
W niebo po inną myśl sięga;
I napotkał myśl wysoką:
Już ogromów niechce sztuka;
Spragnione spoczynku oko
Łagodniejszych kształtów szuka.....
Ich harmonia w dziele całem
Staje się dlań ideałem. —

Deotyma wie dobrze, co było ideałem Greków, wie, że ich wyobrażenia należą dzisiaj do przeszłości; mimo tego w improwizacyach swoich usiłuje pochwycić te starożytną plastykę do odziania nowszych pomysłów, i jak grecki rzeźbiarz urabia kształty tej plastyki, której najwyższa doskonałość ma sprawić wrażenie utworu, otchnionego blaskiem poezyi. Lecz myśmy tego wrażenia niezaznali. Przeciwnie, z pod każdej draperyi przecudnego jej utworu, owiewa nas zimno i rozwaga; widzimy jak artysta, lubo ideą swoją władający, jednak od niej w głębi duszy bynajmniej niewzruszony, z wielkiem zastanowieniem i refleksyą dobiera z nauki i wiedzy potrzebnych do efektu kształtów i treści; widzimy jego wzrok spokojny i rozsądny, który bada skutek wrażenia, i w miarę tego, co widzi, przycienia lub rozognia koloryt, urywa lub nawiązuje nowy wątek, i kończy najczęściej grą światła, wymierzoną na efekt i podziwienie. Dla tego w „improwizacyach” widzimy wiele sztuki, widzimy nadzwyczajną ruchliwość wyobraźni, mamy przed sobą stek obrazów i aforyzmów głębokiej erudycyi, ale serce nasze jest spokojne, jak serce samej improwizatorki. Dziwnie się nam wydaje, jak niektórzy pisarze widzą w utworach Deotymy, tylko utwory czystego natchnienia i intuicyi, i mówią, że im brak zmysłu krytycznego i fibry uczucia. My zaś tam wi-

dzimy za wiele krytycznego rozmysłu, a to jest właśnie, co stoi na zawadzie każdemu natchnieniu. Powtóre, czyż bez fibry uczucia może istnieć natchnienie? Czyli extaza, natchnienie, nie jest momentem najwyższego uczucia?

Ta usilna rozwaga kształtów i zwrotów efektowych osłania w jej improwizacyach rzewną źrenicę tu i owdzie przeglądającej poezyi, i stroi ją w różnobarwne błyskotki, by niemi podniecić przygasłe wdzięki odkwitłej piękności. Spajanie obrazów nie dzieje się zawsze szczęśliwie. Często czepia się myśl nowa przez epitet, który bez szkody utworu mógłby być wypuszczonym, a który zdaje się tylko być kółką do dalszej przędzy. — Zamiast idealnej postaci natchnionej dziewicy widzimy improwizatorkę z cyrklem, wagą i miarą, która rozważnie, z zasobem wielkim nieposполitej nauki i wiedzy, do swego dzieła się zabiera. Mimo to łamią się czasem jej linie architektoniczne. Cyrkiel zbacza w okole od środka, a jakaś dziwna, zabłąkana melodya odzywa się i przebija olbrzymie kształty założonej budowy. Lecz chwile te są nader rzadkie! Improwizatorka, zdaje się, ukrywa z zazdrością skarby serca i duszy, a rzucając nam wyrobione tamże kształty, cofa się jak bóstwo przed okiem śmiertelnika. Wnosimy, że Deotyma założyła sobie cel ostateczny, być improwizatorką. Dostąpiwszy tej sławy, chce dalej dzisiaj postąpić, lecz przyswojone kształty improwizacyi prześladują ją w nowym kierunku. Jeżeli zachwycony recenzent warszawski w improwizacyach Deotymy, widzi odrodzenie się poezyi w nowym kształcie, my jednak, jak niewierni żydowie, oczekujemy innego jeszcze mesyasza, innego kształtu, w którym odrodzić ma się nasza poezya. Może być, że w Deotymie jest przyszłość naszej poezyi, ale dotąd podziwiamy tylko nadzwyczajny jej talent, którym rozrzutnie zajęła stanowisko niewdzięczne.

Dziwnym składem rzeczy w improwizacyi „Kamienie" najwięcej prawie znajdujemy uczucia, a tem samem mniej względów na formę. Jak dziwnie pośród farb nałożonych umniczo, pośród kształtów przecudnej plastyki zawiewa żałosny dźwięk uczucia.

„Być świadkiem dziejów rozwicia,
„Trwać, gdy wkoło świat się zmienia,
„Nie znać śmierci, nie znać życia;
„Oto dziwny los kamienia.
„Gdy w górę wszystkie istoty,
„Zdążają postępu drogą,
„Stać, nie módz nawet za niemi
„Przesłać westchnienia tęsknoty;
„Milczeć w gwarze całej ziemi
„Milczeć może cierpiąc srogo;
„I któż z głazem smutek dzieli?
„Milczeć — może żyjąc błogo:
„A któż z głazem się weseli?...

Nie wiem czy ta struna uczuciowa zabrzmiała tylko z artystycznego pojęcia przedmiotu, dla silniejszego kontrastu, czy ten gorący promień światła rzucono tylko, aby cień uwydatnić?...

Obok tych najszczytniejszych kształtów plastyki, a braku poetyckiego gorąca i uczucia, jakże osądzić mamy jej improwizacyą, czytając jej słowa:

Tak więc pod głazów osłoną
Kryją się dwie różne siły:
Jedne jeszcze nie zbudzone,
Inne, co się źle zbudziły.

Przedmioty improwizacyi są: Wiosna, Lilia, Wiara, Nadzieja i miłość — Taniec — Burza i modlitwa — Szczerstwo — Noc zimowa — Malarstwo — Kamienie — Dwie siły w sztuce malarskiej — Sabaudczyk — Ptaki — Walka dwóch potęg — Życie artysty muzyka — Święto wiosny — Budownictwo — Kwiaty — Dwie cechy muzyki — Cztery pory roku.

(D. n.)

Teatr.

Z Warszawy. Janek z pod Ojcowa, obrazek wiejski ze śpiewkami, oryginalny utwór, pana Gregorowicza. Panny Konopianki, komedya w 1. akcie, przez anonyma, przedstawiono na teatrze Rozmaitości. Pan Gregorowicz, który widocznie za główne swoje zadanie obrał artystyczne malowanie zwyczajów, obyczajów i charakteru poczciwego ludu, chcąc niejako skoncentrować w artystyczną całość, zarysy sielskie, wystąpił po raz pierwszy jako dramaturg w niewinnym i pełnym życia obrazku: „Janek z pod Ojcowa." Pan Gregorowicz, który w tak pociągających kolorach maluje nam życie naszych kmiotków, ma tę wielką przed innemi zasługę, że nam równie poetyczną, jak i prozaiczną stronę pracowitych włościan z całą naturalnością i prawdą przedstawia. Nie należy on do owych jednostronnych pochlebców ludu, których tysiączne przykłady gdzieindziej napotykamy, przeciwnie, zajmuje oddzielne i sobie tylko właściwe stanowisko. Lud nasz go nie czyta, więc nie zna, główną zatem myślą pana G., główną jego dążnością jest obeznanie nas z duchem tej części społeczeństwa, dla której stara się zjednać współczucie i miłość naszą, dla tego wielbi co w nim jest dobrego, a gani poprawia, co zdrożnego znajduje. Obrazkowi Janka w powieści i opowiadaniu nie byłoby nic do zarzucenia, bo wszystko w nim trafnie, żywo i naturalnie oddane. Ależ Janek w komedyi, Janek na publiczną widownię wystawiony, przemawiający nie do tej już części społeczeństwa, która czyta i ocenia, lecz do ogółu, do równie podobnych sobie Janków, nie może, nie powinien być zjednoczeniem jednostronnych tylko pojęć, ale raczej całą artystyczną potęgowo moralną postać przedstawiać. Janek, parobczak z pod Ojcowa, po czasowym pobycie w Warszawie na służbie u swego pana, stęskniony do rodzimej strzechy, a szczególniej też do Basi, którą ukochał, powraca na łono swoich, a jako przybysz ze stolicy, opowiada zdumionej gromadzie niebywałe cuda o wielkiem mieście. A jakkolwiek wyraża się w języku prostym i rodzimym, widać w nim jednak Janka komedyi, myślącego i logicznego. Jak Janek z pod Ojcowa w zakresie obrazku należycie dopiął swego celu, tak panny Konopianki mniej mają artystycznego znaczenia, co nie przeszkadza wszakże wiernemu, charakterystycznemu oddaniu typów, tak żywo i jaskrawo odmalowanych. Pani Jakubowa, szlachcianka na cząstce Konopiej woli, dumna swą krwią i francuzką maniernością, na swój obraz i podobieństwo kształci swe córy, aby z czasem jakiego maniernego kawalera w sidła małżeńskie ująć mogły: otóż strona ujemna komedyi. Pan Piotr, brat pani Jakubowej, szlachcic starej daty, po dawnemu do sierpa i kądzieli wychowując swą jedynaczkę, występuje jako do-

datnia strona akcyi. Pan Władysław, właściciel wsi, wychowaniec warszawski, jako sędzia niejako między dwa te typy wprowadzony, Zosi córce Piotra pierwszeństwo i serce oddając, rozpoczętą zaledwie akcyę, przechyleniem się ku prawdzie i prostocie, ma niby stanowić rozwiazanie całej akcyi. Zeszkicowanie oddzielnych charakterów wierne i czyste: pani Konopina, ow obraz zagonowej szlachcianki, co to maniernością i fochami biedotę materyalną i moralną pokrywa, niestety niezbyt przesadzony; słowa prawdy, pracy i pokory w osobie Piotra szczęśliwie urzeczywistnione: ale niema tu owej całości, owego rozwoju akcyi, stanowiących osnowę, choćby najmniejszej komedyi. Jestto raczej scen kilka, ugrupowanych dla uformowania pierwszego aktu prawdziwego dramatu. (Z. G. C.)

Rozmaitość.

Odkrycie przejścia na północy. (Dokończenie.)

Opowiadania więźniów i rozbitków, mają zawsze w sobie dziwne zajęcie, w samej nawet swojej jednostajności i monotonii. Takie to zajęcie obudza los tej garstki marynarzy, którąśmy opuścili zamarzłą przez dwa lata, w jakimś tam kącie biegunowego morza.

Pamiętajmy, że Mac-Clure zamarzł w odnodze Miłosierdzia 24. października 1851 r., że w kwietniu 1852 r. pieszo, po gołych lodach, poszedł obejrzeć położenie Melville, że stan okrętu był zaspokajający, polowanie dobrze się udało i mięsa obficie dostarczyło.

Miano nadzieję, że latem lody puszczą, że okręt będzie mógł płynąć dalej. Ale wiosna nadeszła, lato mijało, a lody stały murem. W sierpniu już trzeba było przygotowywać do przepędzenia zimy, bo ptaki dzikie odleciały, a kwiatki zniknęły.

»Pora ta, mówi kapitan, może być nazwana długim dniem bez słońca, bo od końca maja gwiazda ta nie daje wcale uczuć swojego wpływu na massy lodów, które zalegają ciaśninę od końca do końca.»

Kapitan Mac-Clure zgromadził swoich ludzi i oświadczył im, że ma zamiar połowę załogi okrętowej odesłać do Anglii przez odnogę Bafińską, a druga połowa miała z nim zostać. Krok ten nakazywał uczynić niedostatek żywności, bo od roku już zmniejszono racye majtków o jednę-trzecią.

Tymczasem okręt zabito na głucho, na pokładzie śniegi zalegly na ośmnaście cali. Rury parowe przepuszczały powietrze wewnątrz okrętu. Nadszedł dzień 26. września; rocznica przejścia przez kanał księcia Walii. Postanowiono obchodzić go uroczyście; rozdano majtkom podwójną racyę i po dwie szklanki grogu, w wieczór śpiewano i tańczono.

Nowy rok się zbliżał, nowy rok, święto domowe i tak popularne w Anglii. Oto co pisze o nim sam kapitan:

»Był to ostatni dzień roku, który mieliśmy razem spędzić. Załoga okrętowa postanowiła obchodzić go uroczyście. Oświecono rzęsiście stoły, ubrano je gustownie obrazami, wyobrażającemi okręt we wszystkich jego niebespiecznych przejściach, zastawiono ogromny plumpuddings, ważący 25 funtów. Nigdy, jak mniemam, większy zbytek nie zajaśniał na pokładzie okrętu; obcy jaki świadek nie pomyślałby nigdy, że ma przed sobą ludzi, którzy już przez dwa lata żyją między wiecznemi lodami, tak byli weseli i zdrowi. Taka uroczysta i wesoła zarazem zabawa, w każdym innym razie ucieszyłaby dowódzcę okrętu, ale w obecnem naszem położeniu, sprawiła jakąś dziwną boleść i zamyślenie. Mimo woli biegłem myślą ku najwyższej opatrzności, która nas wyrwała z tak widocznej zguby.»

Nie jestże to rozrzewniający obraz, owe święto religijno-narodowe, owe swięto rodzinne, obchodzone uroczyście gdzieś tam w nieznanym zakątku ziemi, przez ludzi, którzy myśleli zapewne o swoich matkach, żonach i dzieciach, a mieli przed sobą widoczną prawie śmierć.

Po czterech miesiącach, przeżytych w tym grobie, załoga ujrzała na nowo światło dzienne.

Odesłanie połowy załogi, okazało się koniecznem. Porucznik Hasswell i Cresswell z częścią majtków, mieli odpłynąć przez ciaśninę Barrów; dzielny Mac-Clure pozostał z ochotnikami i gdyby go lato nie uwolniło, miał na sankach, albo pieszo przedrzeć się aż do portu Leopolda. Pożegnania smutne zaczęły się, gdy w tem nadzwyczajny i niespodziewany wypadek odmienił wszystkie te rozporządzenia. Musimy tu, przywilejem powieścio-pisarzy, rzucić okiem na inne i w innej stronie wypadki:

Kiedy Investigateur puścił się przez ciaśninę Baringa, inne okręta wypłynęły przez ciasninę Davisa. Sir Edward Belcher, na fregacie parowej Assistance dotarł aż do kanału Wellington i okolice tamte przezwał archipelagiem Wiktoryi. Zdaje się że Franklin zapędził się w te kanały i zginął w pośród lodow. Z tąd to Belcher robił rozmaite wycieczki na saniach i dotarł aż do ziemi Melville, nie daleko od miejsca, gdzie stał Mac-Clure. Pamiętamy że Mac-Clure w 1852 roku był także na ziemi Melville i zostawił na niej dzienniki swojej podróży. Kapitan Kellett, dowódzca okrętów Herald i Resolue, znajdujący się w tych samych okolicach, znalazł ten dziennik i postanowił szukać Mac-Clura.

Dzień 6. kwietnia stał się dniem pamiętnym dla kapitana Mac-Clure i jego towarzyszy. W tym dniu, kapitan i jego porucznik przechadzali się po lodach, i ujrzeli z daleka jakąś postać ludzką, zbliżającą się ku nim. Myśleli z razu, że to ktoś z ich ludzi; o sto kroków od tego dziwnego zjawiska, nie wierząc sobie, zawołali: »Kto idzie?» Postać zagadkowa odpowiedziała im w ich języku: »Porucznik Pim, okręt Herald, kapitan Kellet.» Wstrzymujemy się od wypowiedzenia słowem radości i zdziwienia stron obu.

Nie odciągając się Mac-Clure i jego ludzie ruszyli w drogę, i po niesłychanych trudnościach, przybyli na okręt Resolue 2. maja. Cresswell odjechał z depeszami do Anglii.

Odtąd niema żadnych wiadomości o kapitanie Mac-Clure. Miał on opuścić Resolue i wrócić na swój okręt do odnogi Miłosierdzia. Jeżeliby z latem lody się przełamały i pozwoliły mu wyjść z odnogi i wpłynąć do cieśniny Barrów, miał zamiar udać się prosto do kanału Lancastre, a ztąd do odnogi Baffińskiej. Gdyby zaś wypłynąwszy z odnogi Miłosierdzia znalazł przejście do kanału Lancastre zatarasowane lodami, miał wpłynąć do portu Leopolda, nabrać w tamtejszym magazynie żywności na rok, i na nowo rzucić się na lody. Rok temu jak otrzymaliśmy te wiadomości, a w obecnej chwili, zdaje się prawdo-podobnem, że Investigateur stoi jeszcze w odnodze Miłosierdzia, ale też jeszcze nie stracił odwagi, która go tam zapędziła.

Miał słuszność Mac-Clure, kiedy wyrzekł: »Gdyby Bóg chciał zgubić nas, nie byłby pokazał tak wielkiego miłosierdzia nad nami.»

Ogrodnik berliński Leopold Faust, uprawia od niejakiego czasu, **nowy gatunek kartofli**, który od towarzystwa ogrodniczego berlińskiego otrzymał nazwisko szesciotygodniowych.

Obok łatwego hodowania, kartofle te odznaczają się obfitym plonem, niepodpadają przytem zarazie, gdyż dojrzewają wcześniej jak wszystkie inne. Pan Faust otrzymał tylko dwie sztuki tego gatunku z Ameryki, i przetrzymawszy je w ciepłem miejscu, po wysadzeniu wypuściły z siebie 17 łodyg, i wydały $^3/_4$ szefla berlińskiej miary. Produkowania tego gatunku kartofli nauczył się pan Faust od samej natury. Uważając bowiem że kartofle pod krzakiem znajdujące się, ogołocone z ziemi wypuszczały z siebie nowe łodygi, takowe wraz z niemi wyjął z gruntu, zasadził w innem miejscu i po upływie sześciu czy ośmiu tygodni otrzymał z nich zbiór obfity.

Robił przytem doświadczenie z ablegrowaniem łodyg kartoflanych; to jest urzynał je poniżej trzeciego lub czwartego bocznego odrostka, i takowe sadził w inspekcie. Łodygi te przyjęły się i wy-

dały mnóstwo z siebie drobnych jak laskowe orzechy kartofli, zawsze jednak zdatnych do sadzenia. Doświadczenie to powtórzył już nie w inspekcie, ale w polu, i to równie mu się powiodło. Powtarzając dalej tę czynność, przekonał się pan Faust, że najlepiej sadzić jest te kartofle gdy wypuszczą z siebie odrostki, do czego można ich zmusić, trzymając przed sadzeniem w ciepłem miejscu, i że najwłaściwszym dla nich jest grunt piaszczysty. Smak mają wyborny, w zbiorze w przecięciu wydały z pręta magdeburgskiego ¾ szefla miar. ber. i główną ich cechą jest, że nie kwitną. Ponieważ pan Faust już doszedł do znacznej ich ilości, przeto wielu gospodarzy około Berlina w roku przeszłym nabyło takowych, bo mają zamiar zaraz po wykopaniu w końcu lipca pędzić z nich wódkę. (G. Cd.)

Już od kilku lat stan **zdrowia ludzkiego w Galicyi** nie jest zadowalniający. Po cholerze i żółtaczkach z których pierwsza dwa razy w tych czasach nas nawidzała, a ostatnie do teraz są dość częste, grasują od zeszłego roku różne, dotąd nieznane febry. Z tych rodzaj gastryczno-nerwowy, jest tak ogólny, że są okolice n. p. samborskie, gdzie mało kto od nich jest wolen. Charakter tej febry jak dla medycyny nowy tak dla słabych nieznośny i niezmiernie przykry: wewnętrznej gorączce, która atoli (rzecz niesłychana) przy niezmiernej swej gwałtowności, nie sprawia pragnienia, towarzyszy współcześnie lekka dreszcz, słabi chudnieją, tracą siły i cerę. Najnieznośniejsze są poty, i trwają po kilka miesięcy lubo paroxysmy ustaną. Nic tyle nie pomaga jak ścisłą djeta, zwłaszcza w mleku, ale i przytem trwa ta febra o wiele dłużej niżeli zimna. Osoby co dawniej na nerwowe gorączki a teraz na tę febrę słabują, twierdzą że nerwowa gorączka znośniejsza od teraźniejszej epidemii.

Szczególne **zjawiska natury** przedstawiają tej zimy drzewa: pełno na nich aż do tej chwili liści. Pochodzi to ztąd, że niezmierne mnóstwo chrząszczy w tej wiośnie objadło pierwsze wyrostki i drzewa musieli w drugiej miazdze (w Lipcu) puszczać; mając tedy wiele soków żywotnych, nowy liść nie mógł opaść jak zwykle w listopadzie. Dęby, jako z najtwardszym liściem, mają go teraz najwięcej, a poeta mógłby powiedzieć, że tego roku dęby spiskują przeciw szpilkowym drzewom, aby udowodnieć, że one zatrzymują zielone suknie przez zimę. Widzieć świeżo opadające liście na ogromnych zaspach śniegu, można to policzyć do nadzwyczajnych zjawisk naszego czasu i trudno abyśmy się czego podobnego jeszcze doczekali.

W numerze pierwszym donieśliśmy o **towarzystwie artystów dramatycznych** bawiącem obecnie w Mohilewie nad Dnieprem pana Kondrata. Przedstawienia dawane są w języku polskim, rossyjskim i małorossyjskim. Z sztuk polskich dano: Adwokat, komedya w 1 akcie S. Bogusławskiego: Stoliki magnetyczne; kilka komedyj Fredry a najwięcej komedyj i dramatów Korzeniowskiego. Odznaczają się w grze panna Adela B e t l e j e w s k a, młoda pięknych nadziei i piękna artystka i pan K o n d r a t młody dyrektor tego towarzystwa. W Szkłowie bawi trupa artystów dramatycznych pod dyrekcyą W i e r z b i c k i e g o. Przy końcu grudnia przedstawiano dramat oryginalnie przez Z. Wysockiego w 5. aktach napisany pod tytułem: **Miłość i kochanie**.

Znany nakładca polskich dzieł B. M. Wolff z Petersburga, założył w Mohilewie księgarnię i zakłada przytem drukarnię.

Mody damskie. — Pierwszego stycznia po raz pierwszy okazały się na dworze cesarskim damy w tak zwanych płaszczach dworskich (*manteaux de cour*). Świetność tych płaszczów była nadzwyczajna, bogactwo i przepych zadziwił wszystkich. Księżna Matylda miała na sobie płaszcz 15,000 franków kosztujący. Płaszcze te miały krój dwojaki. U jednych spada dopiero od stanu i tworzy rodzaj szerokiej otwartej spodnicy, zaokrąglającej się u dołu w ogon przeszło łokieć długości mający. U innych poczyna się już na ramionach i z ramion szeroko spada.

Płaszcze te podobno żadnego nie wywrą wpływu na mody nasze; pozostaną one jedynie etykietową suknią dworską. Opiszemy tu kilka nowych ubiorów balowych. P i e r w s z y u b i ó r: Suknia niebieska, jedwabna lekka z czterma falbanami, przyozdobiona różami przez pół z tej samej materyi, co suknia, a przez pół z białej w podobnymże gatunku materyi zrobionemi. Stanik gładki z prawdziwą blondynową bertą. U włosów fontazie z niebieskiej wstążki, przybrane w białe kwiaty. D r u g i u b i ó r s t r o j n i e j s z y: Suknia biała grodenaplowa. Po wierzchu dwie spodnice tiulowe, z których pierwsza zakończona lekko w rodzaj ogona, ozdobiona w około gierlandą z kwiatów. Spodnica druga spadająca nie wiele po niżej kolan, z boku podpięta trzema fontaziami z *rose noisette*. Stanik gładki bardzo długi i bardzo głęboko wycięty, osobliwie przez ramiona. W około wycięcia przyszyta gierlanda z liści majacych albo złote i srebrne żyłki albo osadę złotą, albo wplecionych kilka liści złotych. Gierlanda ta spada aż do stanika i kończy się w bukiet z róż i liści złotych. W ogóle w tym karnawale przyozdobienia kwiatów w srebrne i złote liście, prążki, żyłki, kolce, szypułki bardzo weszły w modę. S u k n i a t r z e c i a: Różowa krepowa z trzema falbanami obszytemi u dołu krepowem bufowaniem. Stanik w fałdy ułożony. Tak stanik jak i spodnica przyozdobiona agrafami z różowego atłasu i srebrnych przystrojeń. —

W toaletach tego karnawału odgrywają wstążki wielką bardzo rolę. Osobliwie suknie białe tiulowe lub krepowe obszyte wstążkami w około falban lub i dwóch lub trzech spodnic bardzo pięknie się wydają. Podobnie obszywają w około stanik i rękawy. W sali balowej mocno oświeconej suknie tąkie bardzo świetnie wyglądają, osobliwie gdy wstążki są deseniowane w prążki lub gwiazdki srebrne a jednym krawędziem spadającym u sukni obszyte frenzelką na pół tegóż samego koloru co wstążka a przez pół srebrną.

Bardzo eleganckie są ubrania do włosów z szkockiéj wstążki, po każdej stronie fontazie z tej samej wstążki, po jednym boku z węzła spadają długie końce, po drugim boku pęk fontaziów bez końców. Podobne ubrania robią z różnych ponsowych, lub białych wstążek. Ciemno-czerwonych, ciemno-szafirowych i czarnych aksamitnych ubrań podobnych używają do toalety domowej.

Opiszemy jeszcze trzy suknie. Pierwsza gazowa po której rozrzucone prążki srebrne. Trzy szerokie falbany obszyte w koło wstążką niebieską atłasową. Falbany te z przodu po obu bokach tak wycięte, że środek tworzy rodzaj przepaski. Wycięcia garnirowane bukietami z niebieskich powojów, srebrem prążkowanych. Mantyla lustrynowa biała, okładana w koło niebieską i białą wstążką i obszyta białą jedwabną długą frenzlą. Suknia druga do przyjmowania wizyt ciemno-zielona morowa, okryta czarną koronką. Baskina aksamitna wiśniowa, gronostajami obłożona. Czepeczek z wstążek i koronek. Suknia trzecia paliowa krepowa. Pod spodem spodnica biała lustrynowa, trzy falbany z białych jedwabnych koronek, podpięte z boku trzema bukietami. U włosów bukiety z kwiatów polnych i grzebień z podwójną galeryjką, tak zwany a la Marquise.

Mody męskie. Krótkie paletoty i płaszcze już prawie wyszły z mody, wszędzie tylko widać długie płaszcze i surduty watowane. Toż samo i u fraków noszą długie i obszerne poły, stany zaś naturalnie wcięte. Balowe pantalony czarne lub perłowe obcisłe osobliwie na trzewikach, tak jednak, aby pończochę widać było. Największa elegancya i zbytek panuje co do kamizelek, krawaty i mankietek które są bogato haftowane lub kosztownemi koronkami obszywane. Guziki u kamizelek bywają bardzo kosztowne z kamienia rznięte lub w złocie emaliowane.

Rycina przedstawia ubiór balowy, czarny frak i pantalony; ubiór ranny do przechadzki, ubiór fantastyczny; ubiór dwunastoletniego chłopca i piękny ozdobny ubiór chłopca od pięciu do ośmiu lat majęcego.

Wytłómaczenie wzorów na tablicy Nr. I.

Nr. 1. Wzór małej torby podróżnej mezkiej, haftowanej płaskim ściegiem jedwabiem na aksamicie. Kolor bronzowy jest najulubieńszy do takich robót, jedwab zaś bierze się cokolwiek tylko jaśniejszy od aksamitu.

Nr. 2. Róg i szlak chustki haftowanej angielskim ściegiem; drobne liście tylko w bukiecie robią się wypukłym ściegiem.

Nr. 3. Koronka szydełkiem robiona z grubej bawełny.

Nr. 4. Ozdoba herbowa na pulares, która najpiękniej i najtrwalej wydaje się na kanwie jedwabnej, małemi paciorkami wyszywana.

Nr. 5. Boczek czepka dziecinnego siatkowanego.

Nr. 6. Środek czepeczka.

Nr. 7. Róg chustki; znajdujące się w nim litery K. B. wypukłym haftem się robią.

Nr. 8. Wstawka haftowana do dziecinnych sukien używana.

Nr. 9. Jedna szlarka, toż samo do dziecinnych sukien używana.

Nr. 10. Przepaska do firanek. Im grubsza bawełna do tego się bierze, tem lepiej się wydaje, lecz i szydełko powinno być stósownej grubości do bawełny.

Nr. 11. Półkoszulek z szlarek i wstążek atłasowych.

Nr. 12. Czepeczek do ubrania domowego.

Nr. 13. Rękawy, które koło ręki zmarszczone i szeroką szlarką obszyte są.

Nr. 14. Kapelusz strojny z piórami.

Nr. 15. Czepeczek ubrany różami.

Nr. 16. Imie Lina francuskim haftem.

Nr. 17. Litery A aż do I angielskim haftem.

Nr. 18. Alfabet gotycki wypukłym haftem.

Nr. **1.** Wzór na kołdry lub firanki, które mogą być siatkowane lub szydełkiem wykonane.

Nr. **2.** Czwarta część przykrycia na stolik od roboty; może być także siatkowana albo szydełkiem wykonana.

Nr. **3.** Szeroka szlarka szydełkowa.

Nr. **4.** Wzór modnego stołeczka pod nogi. — Robi się na kanwie, paciorek kolorowych dobiera się podług rysunku, a dno zarabia się ponsową włóczką.

Nr. **5.** Wzór na dywanik lub na pokrycia podnożków, krzeseł, poduszek i t. d. Bierze się cień ponsowa, i tą robią się zęby podług deseniu, dwa rzędy biało oznaczone zapełnia się śrebrnemi i białemi paciorkami, środkowy zaś rząd między paciorkami zarabia się ponsową włóczką, a dalej dwa rzędy czarnych paciorek rznietych, na około frenzle czarne z śrebrem.

O załączonych do mód męskich rysunkach w następnym numerze.

☞ Nie spodziewaliśmy się tak wielu abonujących na mody. Mniéj więc zamówiliśmy rycin, tak iż nam teraz nie wystarczyło. Niechcąc jednak aby czekano na mody aż nam większą ilość nadeszlą z Paryża, wystaraliśmy się tymczasowo o inne. Tak pierwsze jak i drugie opisaliśmy powyżej.

Znaczenie szarady poprzedniej: **Optyka**.

Szarady.

1.

Trzecia i pierwsza wolno w wodzie pływa.
Trzecia i druga podpis na rycinie.
Całość zaś w biegu stuleciów nie zginie,
Bo bohatera sława ją okrywa.

2.

Pierwsza i trzecia podział ludzi niewolniczy.
Drugiej i trzeciej senzat szczerze statku życzy.
Całość ma głowę, jeśli nie pustkowie;
Ale przynajmniej zielono w tej głowie.

3.

Pierwsza wraz z drugą najmilszą godziną.
Druga wraz z trzecią z doświadczeń wynika.
Całość zaś mglistą rozmyślań przyczyną.
I uzupełnia kolumny dziennika.

Przyjechali dnia 20. 21. 22. i 23. do Lwowa:

PP. Bal Franciszek rz. dóbr, z Tuligłów. Bogdanowicz Marcelli wł. dóbr, z Przymiwołek. Jaworski Ludwik wł. dóbr, z Tarnowa. Lindner Karol dzw. dóbr, z Brodów. Mier Feliks hr. i wł. dóbr, z Witkowa. Petrowicz Krzysztof wł. dóbr, z Czerniowic. Starzewski Ignacy wł. dóbr, z Chlebowic. Turkuł Tadeusz wł. dóbr, z Bełzca.

PP. Bystrzanowski Leopold wł. dóbr, z Makuniowa. Cywiński Andrzej i Franciszek wł. dóbr, z Delejowa. Czerwiński Jan wł. dóbr, z Remizowiec. Drohojewski Henryk dzw. dóbr, z Zubowychmostów. Kotkowski Władysław wł. dóbr, z Czerlan. Mustatza Jan i Mikołaj baronowie i wł. dóbr, z Sadogóry. Polanowski Feliks wł. dóbr, z Bojańca. Popowicz Michał wł. dóbr, z Czerniowic. Winnicki Hieronim mand. ze Stanisławowa. Zych Jan c. k. radca s. k. ze Sambora.

PP. Bocheński Karol c. k. radca gub. i star., ze Stryja. Gorajski Józef wł. dóbr, z Brzeżan. Jakubowicz Józef wł. dóbr, z Kurzan. Jordan Teofil wł. dóbr, z Tarnopola. Neuhaus Teodor wł. dóbr, z Tarnopola. Ochocki Józef wł. dóbr, z Dobropola. Stankiewicz Stefan wł. dóbr, z Podlisek. Teodorowicz Kajetan dzw. dóbr, ze Stanisławowa Tretter Hilary wł. dóbr, z Łonia. Weber Ferdinand lekarz cyrkul. Załęski Gabryel wł. dóbr, z Żółkwi.

PP. Krasicki Edmund hr. i wł. dóbr, z Liska. Turczyński Jan wł. dóbr, z Żółkwi. Wisłocki Alojzy dzw. dóbr, z Krystyanpola. Wybranowski Celestyn dzw. dóbr, z Krasna.

Wyjechali dnia 20. 21. 22. i 23. stycznia ze Lwowa:

PP. Baworowski Mikołaj prowincyał OO. jezuitów, do Tarnopola. Caboga hr. c. k, major, do Przemyślan. Szymanowski Franciszek wł. dóbr, do Krakowa. Witosławski Bronisław wł. dóbr, do Żendowic.

PP. Ciepielowski Dyonizy c. k. radca s. k., do Sambora. Hagen Klementyna baronowa i wł. dóbr, do Żółkwi. Masłowski Marcel wł. dóbr, do Jarosławia. Mier Feliks hr. i wł. dóbr, do Witkowa. Miliński Franciszek dzw. dóbr, do Brzeżan. Rosnowski Xawer wł. dóbr, do Żółkwi. Younga Adam wł. dóbr, do Przemyśla.

PP. Czaprański Konstanty justyc. do Sulimanowa. Czerkawski Michał wł. dóbr, do Żółkwi. Drohojewski Juliusz dzw. dóbr, do Zubowychmostów. Janiszewski Juliusz wł. dóbr, do Stryja. Potocki Stanisław hr. i wł. dóbr, do Warszawy. Starzewski Ignacy wł. dóbr, do Żółkwi. Wiktor Tadeusz i Walenty wł. dóbr, do Złoczowa. Marceli i Stanisław Prawecki dz. dóbr, do Brzeżan.

PP. Bogdanowicz Maks wł. dóbr, do Przymiwołek. Hempel Stanisław dzw. dóbr, do Zapałowa. Skrzyszewski Franciszek dzw. dóbr, do Zapałowa.

Kurs lwowski.

Dnia 24. Stycznia.	gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	45	złr.	5	kr.	49.
Dukat cesarski	"	5	"	49	"	5	"	53.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	5	"	10	"	10.
Rubel srebrny rosyjski	"	1	"	57	"	1	"	58.
Talar pruski	"	1	"	48	"	1	"	50.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	27	"	1	"	28.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	96	"	18	"	90	"	35.

Kurs telegraficzny z Wiednia 23. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 126¾. Frankfurt 126⅝. Hamburg 93½. Liwurno. — Medyolan 123½. Genua. — Londyn 12. 17. Marsylia. — Paryż 148¼. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. 31¾. Srebra agio 26. Pożyczka 5% 90⅝. 4½ 80⅝. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1308. Kolej północna 2270. Obl. ind. 5% 90.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.